NUMER 26. DNIA 29-go CZERWCA 1902 ROKU ROK X.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA

W długą noc.

(J. PEREŚWIT: „W DŁUGĄ NOC“. LWÓW 1902.)

W „długą noc“ niewoli zwraca myśl swą Pereświt, i zapytuje: czem była, czem jest dla nas niewola? i jakie jej skutki, — już nie społeczne, czy ekonomiczne dla całego narodu, — ale duchowo-moralne dla każdego z nas? Czem jest dla człowieka Ojczyzna? czem jest jej utrata i brak?

Na te pytania odpowiada Pereświt w dramacie swoim: „W długą noc“.

Pierwszy akt rozpoczyna się rodzajem prologu.

Stary dębowy gaj — i źródło podle, — jak dawne pogańskie uroczysko. O zachodzie słońca „szkarłatnym i krwawym“ — na uroczysku gromadzą się bogi i boginki słowiańskie — nieznanym przejęci lękiem i zgrozą. Tworzy się korowód, na czele którego staje Światowid. — Chór śpiewa:

„Wstrzęsła się ziemia — ta macierz święta
i drgnieniem zgrozy stąd żenie nas...

Idziem, niesiem skarby nasze,
moce rodne, moce święte;
wodę, ziemię, kłos i ziele...

Przez lat mnogość, przez lat wiele
my tu ciche, snem objęte,
byli jednak, w śnie tym żyli,
snując dawną w słońcu nić!...

Zgroza wstrzęsła! od tej chwili
nijak, nijak nam tu być!“

Światowid, zapytywany, opowiada, co widział, „co stać się nie może, a stało!“ —

„Zdało się, jako — las bez korzeni,
jakoweś dziwo potworne... w męce!
Patrzałem: bór, ów zwalon w przestrzeni,
ściągał gałęzie swe jako ręce,
trząsł się, i krzyczał, i modlił niemi...
A nie miał soków
z żywiącej ziemi,
pokarmu z żył...
i wyciem modlił się do obłoków
i — gnił!“

Zgrozą przejęci bogowie uchodzą, a uchodząc, świadczą się „przez wodę, przez żywą wodę i ziemię:

Nie chce płynąć woda żywa,
znosić nie chce ziemia święta,
nie chcą na niej kwitnąć zioła...
Zewsząd głos ten ku nam woła:
rzecz się dzieje niepojęta,
dziw potworny dokonywa...
wstrząśnieni grozą, odchodzim!

I teraz rozpoczyna się dramat właściwy, którego istota ogólnie zaznaczoną jest w prologu.

W gaju, opustoszałym po odejściu bogów — po chwili gromadzi się lud, ten lud, wyklęty dopiero co i opuszczony przez opiekuńcze duchy.

Lud jest przejęty trwogą, z powodu klęski morowej, jaka nań spadła. Na twarzach mają piętna, znaki złowieszcze, a żadne leki ani zioła,

zmyć ich ni zagoić nie mogą. Zewsząd słychać żale i skargi.

Wśród zbolałych i wylękłych zjawia się wiedźma — Marzanna, — duch zły, duch śmierci i zniszczenia, — i przynosi radę.

Ja wiem, jak zakląć do cudu:
ja wiem! ja wiem!
Niech jeno z mnogiego ludu
każdy ze słowem przybieży,
każdy przy obmywaniu
kładzie na studni rubieży —
słowo — pod krwawym dniem
żałośne!
słowo — w blasku zachodu
krzyczące:
„oto nie chcę — pamiętać!...“

Rada przyjętą zostaje z zapałem. Ludzie ci, zmęczeni i osłabli, nie chcą pamiętać. Odzywają się głosy pojedyńcze: „Idziem, niesiem słowo wieszcze... Prawie kojące... Miłośne... Otoć wspomnienie przynosim, cierniste... Uczyń że serce od wspomnień czyste... Uczyń nam serce niepokalane“...

Gdy zaparcie się stało się czynem, wiedźma wymawia słowa zaklęcia:

Na wszystko idzie kres.
. . . .
Odmieńcie swe miejsce, rany!
odmieńcie smutne siedlisko!
Rany, z twarzy spędzone,
rany... wstydu czerwone,
zgińcie i przepadajcie, — aż kędyś w serca głąb!

Więc wiedźma skłamała. Skłamała, gdy obiecywała, że rany usunie, ona tego uczynić nie mogła, ona im tylko odmieniła „siedlisko“. — „Rany, z twarzy spędzone“, zapadły „w serca głąb“.

I oto do głębi serc teraz przenosi się i tam odgrywa się dramat. D u s z e tych nieszczęsnych toczy teraz choroba, która się objawia — wewnętrznie jako kłamstwo i ból, zewnętrznie jako smutek i niemoc życiowa.

Na tle mas ludowych, cierpiących i bezradnych, wybijają się, w pierwszym akcie już na czoło akcji wysunięte, jednostki niektóre silniejsze, na tem lub owem polu szukające szczęścia, prawdy, życia.

Lecz fałsz wewnętrzny staje im na zawadzie. Na drodze swej każdy kolejno potyka się o ów fałsz i upada.

Więc naprzód — dwoje ludzi — szukają szczęścia w miłości osobistej. Ale doznają zawodu. Jemu miłość nie wystarcza, nie zagłusza smutku i rozpaczy wewnętrznej. Miłość to dla niego — „godzina jedna — w bezmiarze“. A

życie jest dłuższe: godzina żadna
wypełnić go nie zdoła!
Serce jest głębsze, — a czcze i woła...
Słysz! słowo ono żrące...
Słysz! Głód ten, ktow ypowie?
Gdybym ja kędyś na dnie leżące
miał serca zdrowie!
Ale tam kłamstwo, choć nie kłamałem!
fałsz we mnie w głębi i w życiu całem,
taki brak straszny, co fałsz narodził...

Napróżno kobieta usiłuje go przekonać, że tego „braku“ niema, że to jest złuda tylko i „pusty dźwięk“ imienia, — przekonana w końcu, choć nie pokonana — choć buntująca się przeciw tej „Tajemnej“, co jej serce ukochanego odebrała, — choć dopuszcza się bluźnierstwa, wyznając, że nienawidzi — „tej matki“, — to jednak o prawdzie świadczy:

iż bez niej nic się tu nie ziści,
że nie miłować można! i tęsknotą
imienia jej nie wieńczyć jako glorją złotą,
ale na jej konieczność ślepym być nie można.

Innego szczęścia szuka artysta, rzeźbiarz, Bojanicz. Ten miłość odtrącił, on pragnie „życia“, twórczości z ducha, z prawdy wewnętrznej, ukrytej, własnej. Ten w duszy nosi ideał i marzy o jego wcieleniu, chce mu dać „jeden objaw, jedno imię“. — I oto przychodzi godzina natchnienia. Bojanicz czuje się silnym, pewnym:

Iżem wyzwolił tak duszę własną,
dźwignął i wyniósł, ja dzisiaj stworzę
postać, o której wciąż wieki roją,
którą wyśniły gdzieś polskie zorze:
Wandę! — jak miłość polskiego ludu,
Wstającą z pieśni, gdy świt, poczętą,
w rozkołysanej swobodzie świętą,
dziewiczą w jasnem zaraniu cudu!

Ale gdy przychodzi ta chwila, do której tak długo gotował „swą duszę“, aby „w natchnienia dobie uczuł się więcej, niżeli wieszczem, bo prawdą — sam“, — gdy schodzi „w tajnie duszy“ — i wchodzi w siebie, jak dotąd nigdy — „tak przepastnie i głęboko“ — znajduje wtedy w sobie, w głębi — tylko ból i — fałsz.

„Kłamstwem jestem i — nie stworzę!“ — mówi z rozpaczą i rozbija rozpoczęty posąg.

Inną znów drogę obiera Ludomir, szermierz idei ludzkości, który, jak sam powiada, „wyrósł z pragnień cieśni, wyszedł z onych, jak z kołyski, zbył się tęsknic, złud i mar!“ „Uczucie stare“ Ludomir zbadał i osądził, a gdy znalazł je zbyt „drobnem“, odrzuca precz.

Polska sama!... cóż to jest?

Nie chcę o dawnej rozmyślać chlubie
bawić się w tęskne do grobów żądze, —
a dźwigać w piersiach ten żal powinny
jak tkwiący miecz!

Raczej tę miłość zatopię w innej,
zagaszę, zgubię.

I oto dziecię swoje Ludomir, nie wykrywając mu pochodzenia jego, ani nazwiska, wychowuje wśród rówieśnych mu a obcych chłopców, których przygarnia do siebie i na równi ze swoim otacza ojcowską opieką, nakazując im wszystkim wzajemną miłość braterską.

Ale marzenia go zawodzą — napróżno „wynijść“ chce „z tych przesądów ciała“, by uczcić „równość“. Okazuje się, że „równym“ syn jego tamtym, obcym, nie jest, że za równego mieć go oni sami nie mogą i nie chcą. Za to że dla nich dziwny i niepojęty, że bezimienny, że od wszystkich różny, nienawidzą go i odpychają ze wstrętem.

Każdy z nas, równych, jest przecie sobą,
ty jeden — kto?

Gdy na to pytanie on im nie umie dać odpowiedzi, wówczas chłopcy mu wskazują:

Słuchaj! gdyś niczem, dzisiaj treść nadamy!
Będziesz, jak jeden z nas, wybieraj sobie!

Ty musisz przystać do jednego z wiela,
wziąć jego ruchy, jego głos i mowę!
i być mu cieniem, potem sobowtórem!...

Gdy „pacholę“ się na to nie godzi, chłopcy wpadają w gniew i obrzucają go kamieniami. Ludomir nadchodzi właśnie, gdy syn jego pada, raniony „bratnim“ pociskiem.

A więc i ta droga okazuje się kłamliwą.

Od gromady ludzi cierpiących i zwątpiałych odcina się jeszcze jeden człowiek samotny, Bogumił, ksiądz. Wierząc, że w Bogu tylko jest „siła“, pracuje nad tem, by „uzdrowić duszę własną“, by „okrzepnąć duchem“, aby módz potem braci powieść drogą pewną i czystą do prawdy — do Boga. Ale wierząc i pragnąc „ojczyzny wiekuistej“, zarazem w duszy czuje bunt i żal, — więc modli się:

Boże,
daj mi, niech tęsknię już tylko za nią...

aby się koił mój duch w świętości,
aby przepomniał, iż po za Tobą
coś umiłował i czcił żałobą!

Po takich długich modłach i walkach wewnętrznych — Bóg daje mu znak i daje odpowiedź, a ta odpowiedź jest zarazem odpowiedzią i dla tamtych wszystkich, jest rozwiązaniem dramatu.

Po długiej nocy zbliża się świt. Na świecie dnieje, lud zbiera się gromadami, jak na początku, wywodząc żale i skargi. Ale obok tego tonu żałosnego, już też odzywa się jakiś inny, mocniejszy i świeższy. — Jak gdyby „świta poznanie jakieś z przepaści serc tysiąca“. Odzywają się głosy:

Jeżeli siły macie,
to one siły zbierzcie.

Na uśmiech szczęścia, kiedy patrzy cichy,
powiadać: później!

Na ten korowód ludzkich żądz rodzony,
wciąż targających myśli wolą twórczą,
szarpiących serca w łonie,
powiadać: później!

Ozdrowieć wpierw... ozdrowieć.

Tu i ówdzie z pośród starszych odpowiada protest:

Męczeństwo jakieś sprowadzić chcą na ziemię?
. . . .
Czy nie masz drogi, jako przez ten ból...

Matki zaczynają płakać, tuląc swoje dzieci, — płacz w tłumie się wzmaga. Nadchodzi ksiądz. Ukojony w sobie i pewny, uspokaja lud, i wskazuje na drogę ufności w Boga i wiary:

„Gościniec —
jeden świetlisty w ciszy serc się zacznie,
a w nieskończoność drogę swą przemierzy...

Niech na świecie oceany
krzywd się wznoszą, gwałt szaleje,
i tym wichrem żądz miotany,
rwie się związek wszelki, targa...

A ty, człowieku,
wbrew gwałtom ufaj, bo w niezmiennej jedni
przetrwa uczucie — nić gwiaździsta, cicha
na prochu ojczyzn, rozwalonych w szale...

Gdy jednak z pośród tłumu cierpiącego odpowiadają mu głosy nieufne i szydercze, ksiądz powołuje się na świadectwo Boże, na znak z nieba, którym ma być słońce wschodzące, „jako że wszystkim wstaje, dzień rodzące, jako że wolnym i niewolnym świeci“.

I Bóg istotnie daje znak, — znak, który wszakże słów księdza ostatnich nie stwierdza, lecz przeciw nim świadczy. Na niebie zamiast słońca ukazuje się znak krwawy, jak rana, — a jednocześnie na twarzach obecnych znów pojawiają się usunięte niegdyś piętna i plamy. Wówczas prawda objawia się przerażonemu ludowi, i w ciszy ogólnej odzywa się głos mówiący:

— Czy chcesz nam mówić, Boże,
jak piorunami swojej twórczej siły,
wiecznemi słowy
o tej bezwzględnej prawdzie, tej ojczystej
. . . .
jako że przez nią jedynie szlak wiodący
a inny zaś nie będzie
i jeno przez Ojczyznę, — Prawdę iść gotowy
lud — przyjść do Ciebie — może.

Na tem się dramat kończy.

Ojczyzna jest prawem przyrodzonem człowieka, niewola jest kalectwem duchowem. Zaparcie się ojczyzny jest buntem przeciw własnej naturze, przeciwko duszy własnej, — jest kłamstwem wewnętrznem i jako takie, mści się. Bo ani do szczęścia, ani do innego celu żadnego, ani do Boga nawet — iść nie można bez ojczyzny.

Taka jest myśl dramatu Pereświta.

I. Jaw.

Jeszcze w sprawie antagonizmów narodowych.

Jakkolwiek odpowiedź p. Kulczyckiego na mój artykuł „Patrjotyzm a antagonizmy narodowe“, nie może podważyć żadnego z mych zasadniczych twierdzeń, korzystam jednak z niej chętnie dlatego, aby dalszą polemiką wyjaśnić podstawowe sprawy naszej polityki.

Najpierw w sprawie określenia samego pojęcia nacjonalizmu. Pod nacjonalizmem rozumiałem i rozumiem patrjotyzm uświadamiający i kojarzący się z walką z innym narodem o sprzecznych interesach i wykazywałem, że wskutek wzrostu międzynarodowej walki o byt on wzrasta w dobie dzisiejszej. Jestto określenie całkiem objektywne, nie wprowadzające do danego pojęcia wielu cech, których współistnienie nie jest niezbędne. Pan Kulczycki postępuje inaczej, daje on określenia, nie odpowiadające równie dobrze wymaganiom metodycznym. Patrjotyzm jest, podług niego kierunek wolnościowy, demokratyczny, dążący do zapewnienia wolności narodowej bez przesądzenia z góry indywidualnych cech narodowości. Podług tego określenia w Anglji nie ma patrjotyzmu, gdyż zbyteczną jest tam dążność do zapewnienia niezależności narodowej, gdyż nikt na niezależność Anglji nie nastaje; te nieprzesadzania i przesadzania cech narodowości, o których wspomina p. Kulczycki nie mogą stanowić granicy między patrjotyzmem i nacjonalizmem, bo wówczas do nacjonalistów musiałby być zaliczany każdy patrjota, uświadamiający indywidualne cechy swej narodowości bez względu na jego kierunek polityczny, przez co naruszałoby się pierwotne rozgraniczenie pojęć nacjonalizmu i patrjotyzmu. Określenie nacjonalizmu, podane przez p. Kulczyckiego, też kula pod względem logicznym, nie jestto proste przeciwstawienie patrjotyzmu, ale jest zbiorem cech dla p. Kulczyckiego niesympatycznych; nacjonalizm podług p. Kulczyckiego to „prąd pozbawiony cech prawdziwie demokratycznych, dążący do narzucenia języka, obyczajów i wogóle kultury jednego narodu drugiemu, reprezentujący interesy klas uprzywilejowanych pod pokrywką patrjotyzmu“. Takie nagromadzenie cech, często sobie nie towarzyszących, przyczynia się tylko do zagmatwania poję-

cia. Lassale, który pragnął germanizacji zaboru pruskiego, Auer członek zarządu niemieckiej socj.-dem. z 1899 r., gdy oświadczył polskim socjalistom Morawskiemu i Berfusowi, że Niemcy muszą pochłonąć Polaków, jak pochłonęli tyle ludów — bezwarunkowo byli ludźmi nie pozbawionymi dążności i pragnień demokratycznych i wolnościowych, ale świadomie dążyli do narzucenia języka, obyczajów, wogóle kultury niemieckiej Polakom. Calvers, który na zjeździe socjalnej demokracji niemieckiej uzasadniał ideje antagonizmu proletarjatu różnych krajów, był bezwarunkowo „nie pozbawiony cech prawdziwie demokratycznych". Wszyscy, wyżej wymienieni przezemnie, socjalni demokraci niemieccy podług mej definicji są nacjonalistami, podług określenia p. Kulczyckiego nie wiadomo dokąd by ich zaliczyć. Określenie nacjonalizmu i patrjotyzmu p. Kulczyckiego szwankuje i to wprowadza pewny zamęt jego pojęć na daną kwestję.

P. Kulczycki nie neguje istnienia antagonizmów narodowych, ale nie chce budować na nich polityki, uważając je za zjawiska przejściowe. Czytamy w jego artykule:

Były czasy zemsty rodowej, ciągłych brutalnych walk osobników i grup w społeczeństwie; po pewnym jednak czasie większość ludzi przyszła do przekonania, że interesy ich wymagają ustroju politycznego, zapewniającego równouprawnienie, uznano potrzebę jednego prawa cywilnego i karnego. Otóż jak ułożyły się stosunki międzynarodowe".

Pomijając już to, że nie układały się te stosunki tak prosto, jak można byłoby wywnioskować z relacji p. Kulczyckiego — ludzie przyszli do przekonania, bo przekonanie zjawiło się wówczas, gdy wskutek ekonomicznego procesu rozłożył się ustrój rodowy, a następnie podstawa stanowego, naturalna gospodarka będąca podstawą stałych zdolnych do ustalenia w normy prawne przywileje stanowe i przyszedł okres towarowej gospodarki.

Cały ten proces socjologiczny trwał wieki. Bardzo być może, że za wieki następnie zorganizuje się harmonijny związek narodów, ale błędem jest politycznym cechami odległego Zukunftstaatu regulować stosunki współczesne, możeby wówczas naprzykład należałoby zaprzeczać kwestję agrarną, dlatego, że może w przyszłości ludzie wyrabiać będą drogą chemiczną białko. Dziś wstępujemy do okresu wzmagających się antagonizmów narodowych, co ilustrowałem wielu przykładami.

P. Kulczycki, z łatwością spostrzega, że w ciągu ostatnich lat 60 na ogół równouprawnienie narodowości w państwie i wyzwolenie się ich zupełne robi znaczne postępy. Dziwi nas to spostrzeżenie, wszak ucisk narodowy w zaborach rosyjskim i pruskim wzrósł znacznie, zmniejszył się natomiast w Austrji, która wskutek wykluczenia jej ze związku niemieckiego nie ma sił dawnych na ucisk niemieckich narodów i narodowości i przeciw samorządnym dążnościom Polaków i Włochów proteguje Rusinów i Słoweńców. W ciągu ostatnich 60 wyzwolono państewka Bałkańskie, ale stało się to nie wskutek walki o zasadę wolności ludów, ale jako rezultat zaborczych dążności Rosji, rozbijających Turcję i polityki mocarstw europejskich, których interesom zagrażałoby uzasadowienie się Rosji na półwyspie Bałkańskim. Niemal w każdym wieku dziejów Europy emancypowały się jakieś podbite narody: w XV. Rosja, XVI. Niederlandy, w pierwszej połowie XIX. Grecja. Ponieważ proces wyzwolenia się podbitego narodu jest związany z uporczywą walką, więc może znajdować się w pewnym związku ze wzrostem antagonizmów międzynarodowych, bardzo być może, że więc wzrośnie w okresie, do jakiego wstępujemy.

Błędem jest zdanie bardzo rozpowszechnione i wypowiedziane przez p. Kulczyckiego, że usamodzielnienie jednego narodu, jako tryumf zasady samodzielności narodowej, popularyzuje tę zasadę, przez co ułatwia jej zrealizowanie.

Wychodząc z tego założenia, Smolka i inni Polacy współdziałali usamodzielnieniu Węgier w 1867 r., wskutek tej zasady u nas idea samodzielności Czech cieszyła się zawsze popularnością. Jednak usamodzielnienie Węgier, które nie odbyło się współcześnie z usamodzielnieniem Galicji, zmniejszyło znacznie szanse usamodzielnienia kraju; usamodzielnie Czech, nie połączone z usamodzielnieniem Galicji wyda nas na pastwę germanizacji, zamieniając stosunek sił w parlamencie wiedeńskim na naszą niekorzyść. Każda zasada porusza serca tylu ludzi, ilu czuje, że ona jest uogólnieniem ich pragnień i interesów. Im mniej jest narodów znoszących jarzmo obce, tem

bardziej zasada samodzielności narodowej jest obojętna dla ludzkości.

Zasada jest pewnem uogólnieniem interesów, ale uogólnieniem nie zawsze ścisłem, stąd jest szkodliwa, gdy występuje, jako coś bezwzględnego, jako fetysz. Stąd ogromnie doniosłą jest rzeczą wdrożenie społeczeństwa do realizmu politycznego, polegającego na tem, żeby ono brało za punkt wyjścia realne interesy, a nie zasady abstrakcyjne. Największym błędem jest bezwzględne kierowaniu się zasadą.

Szerzenie sympatji dla Bułgarów i Serbów podczas wojny tureckiej, jak to czyniła zwyrodniała pod względem politycznym t. zw. młoda prasa w Warszawie, było to pracowanie dla interesów Rosji, czyniąc albowiem to działanie wojsk rosyjskich na teatrze wojny popularnem w naszem społeczeństwie, zresztą pp. Wiślickim i Świętochowskim nie udało się wówczas zdeprawować naszej opinji publicznej i sympatje Polaków leżały po stronie Turcji. P. Kulczycki obawia się, że jeżeli nie będziemy rozczulać się losem Ormian, Irlandczyków, a może nawet Rusinów, to staniemy się niewrażliwi na ucisk w zaborze rosyjskim i pruskim. Dziwna obawa. Wrażliwość na nasz ucisk wszak zależy głównie od tego, ile objektywnych strat on nam zrządza, o ile my te straty uświadamiamy, jak wielkim jest zasób sił naszych prących nas do rozwoju. Tu też dodam, że mówić o ucisku Rusinów w Galicji może tylko albo ślepy politycznie, albo człowiek złej wiary, zastrzegam się, że złej wiary nie przypisuję p. Kulczyckiemu.

P. Kulczycki tylko nie zna i nie zna i nie rozumie kwestji ruskiej. Pisze on „polityka zalecona przez p. Studnickiego (względem Rusinów) jest pobudka do wojny, którą wyczerpać naród może, nie dając pewnych korzyści“. Jakąż politykę zaleciłem względem Rusinów?! Wobec tego, że Rusini chcą nas wyprzeć z Galicji pozostaje nam jedno z dwóch, albo zrezygnować tu ze wszystkiego, iść na karm dla Rusinów, którzy nie wiadomo jeszcze czy się urobią do indywidualnej cywilizacji, albo bronić naszego stanu posiadania. Pod stanem posiadania rozumiem zachowanie istniejącej stosunku sił polskiej narodowości do ruskiej w Galicji wschodniej. Dla utrzymania tego stosunku sił, uważam za konieczne, gdy Rusini zdobywają na rządzie jaką kulturalną instytucję, zdobywać analogiczną; gdy Rusini wytwarzają swemi własnemi siłami nową kulturalną instytucję lub rozszerzają istniejące, stwarzać analogiczną lub rozwijać nasze istniejące, gdy oni parcelują obszary dworskie swemi chłopami, kolonizować je mazurami. Był czas, kiedy Rusinów popierali Stadjonowie, aby wytworzyć przeciwwagę wobec nas, potem przyszedł Badeni i popierał Rusinów, aby zyskać poklask w Wiedniu. Błędem jest, aby ustępstwami kupowali się sprzymierzeńcy i spokój. Węgrzy nie czynili ustępstw i nie mają jeszcze kwestji ruskiej. Jakkolwiek jesteśmy słabsi od Węgrów w tej rozkładającej się monarchji, jednak gdybyśmy nie mieli marudzenia naszej sprawy narodowej przez stańczyków i socjalnych demokratów galicyjskiego autoramentu, stalibyśmy dziś wobec Rusinów nieskończenie lepiej, niż obecnie.

Postawa nasza względem innych nie zależy od zasad, jakie chcielibyśmy przeprowadzić, ani nawet od tego czy chcemy mieć w nich naszych wrogów lub sprzymierzeńnów, ale też od postawy tych innych, względem nas. Warunki geograficzne, przeszłość ciążąca nad teraźniejszością, antagonizmy ekonomiczne wywołują tam walkę, gdzie może nie jednemu z nas chciało by się spokoju lub przymierza.

P. Kulczycki tego nie uwzględnia, zarzuca mi, że chcę zwalczać nie tylko rządy zaborcze, lecz całe społeczeństwa, jak niemieckie, rosyjskie, Słowian w ogóle i t. d.

Ciekaw jestem w jaki sposób może zwalczać rządy zaborcze niemieckie i rosyjskie p. Kulczycki, nie walcząc ze społeczeństwem niemieckiem i rosyjskiem, społeczeństwami, na których opierają się te rządy i które ich w walce z nami popierają i do niej niejednokrotnie popychały. Hakatyzm narzucony został rządowi pruskiemu przez społeczeństwo pruskie i nawet niemieckie, gdy rząd ten czynił nam pewne ustępstwa w dobie Capriwiego. Rosja narzuciła Aleksandrowi II Murawjewa w rozbestwieniu powstaniem 1863 r., jak to stanowczo twierdzi Hercen. Czyż jest choć jedna sfera w Rosji, którąby sympatyzowała obecnie ze sprawą polską. Jak się odnoszą rewolucjoniści rosyjscy do sprawy niepodległości Polski, widać z tego, jaką niechęć wywołała u nich uchwała polskiej partji socjalistycznej o wchodzeniu w związek organizacyjny tylko

z temi grupami rewolucyjnemi rosyjskiemi, które uznają i zobowiążą się propagować nasze prawo na niepodległość. Były wprawdzie grupy rosyjskie, które zniewolone koniecznością usług polskiej partji socjalistycznej nominalnie zadosyć czyniły temu warunkowi, ale on był zawsze niepopularny u rewolucyjnej Rosji.

Błędem jest uważać rząd rosyjski lub niemiecki za coś odrębnego od społeczeństw rosyjskich lub niemieckich.

Teraz co do kwestji naszego stosunku do Słowian. To tu przyznać trzeba, że czy chcemy, czy nie chcemy, a słowiańskie ludy ze względu na swą małą liczebność i w wielu wypadkach słabość kulturalną, pragną opierać się o Rosję. Wobec tego, że Rosja ciąży nad dwoma trzeciemi ziem polskich, więc jest głównym naszym antagonistą, uprawiać polityki słowiańskiej nie możemy.

Nie zalecałem nigdy sportu zwalczania Słowian, ale uważam, że w zatargu węgiersko-słowiańskim Węgrzy zmuszą nas stać po stronie Węgier, ale nie Słowian. Zresztą sprawie tej dałem uzasadnienie w zeszłym roku w moich artykułach w Reformie przeciwko zlotowi naszych Sokołów w Pradze i z chorobą słowiańską, do której wprowadził nas Badeni i nasi moskalofile niejednokrotnie jeszcze walczyć będę.

Pozostaje jeszcze jedna kwestja stosunek żydów do kierunku pracy organicznej. Prawdą jest, że żydzi nie dali nam żadnego wybitnego publicysty, będącego przedstawicielem tego kierunku. Ale naogół nie dali oni niemal wybitnych publicystów i w innych u nas kierunkach: Julian Klaczko i Stanisław Mendelson, b. redaktor londyńskiego „Przedświtu" i Walki Klas — oto dwaj wybitni publicyści, jakich nam dali żydzi. Szpalty jednak młodej prasy były w znacznej mierze zapełnione przez pióra podrzędnych co do talentu publicystów żydowskich. Za pieniądze żydowskie wydawano Nowiny (dziennik tego kierunku), materjalną podporę Prawdy p. Świętochowskiego stanowili przeważnie Żydzi. Przez negację tradycji rewolucyjnych, którym żydzi u nas byli obcy, przez walkę z katolicyzmem, znienawidonym przez żydów, przez perspektywę geszeftów na Wschodzie, kierunek prasy organicznej odpowiadał dążnościom żydów. Były też i tam czynniki, które wywołały ten prąd spółczesny, ale współdziałając mu żydzi, dali mu pewne specyficzne zabarwienie.

Najwybitniejsi publicyści żydzi, jak Julian Klaczko, Mendelson w drugiej połowie swej działalności, są przedstawicielami zasymilowanych idejowo żydów, wychodzą oni z polskiej racji stanu w swych pracach.

Różnica między memi poglądami a poglądami p. Kulczyckiego polega na tem, że tam, gdzie ja widzę z objektywnych warunków wynikający i wzmagający się antagonizm, on tego antagonizmu nie upatruje; gdzie ja chcę czynności i walki ze strony naszego społeczeństwa wobec wrogiej postawy innych, on chciałby prowincjami lub umizgami kupować tych sprzymierzeńców.

Wł. Studnicki.

Druga odpowiedź p. Studnickiemu.

I.

P. Studnicki ponownie zarzuca mi, że moje określenie patrjotyzmu i nacjonalizmu nosi subjektywny charakter, że nie odpowiada wymaganiom metodycznym i logicznym; natomiast swoje określenie nacjonalizmu uważa za „objektywne".

Zdaniem p. Studnickiego nacjonalizm jest: „patrjotyzmem uświadamiającym i kojarzącym się się z antagonizmem względem innych narodów o sprzecznych interesach".

Określenie to dlatego jest niewłaściwe, że obejmuje kierunki bardzo różne, te właśnie, które

w pojęciach „patrjotyzmu i nacjonalizmu“ przeciwstawiałem sobie wzajemnie.

P. Studnicki widocznie zupełnie nie rozumie, na czem polega zadanie wszelkiej klasyfikacji, jeżeli w wielu punktach wprost przeciwne sobie kierunki nazywa wspólnem mianem.

Punkt ciężkości w kwestji „patrjotyzmu i nacjonalizmu“ tkwi nie w tem, czy chwalę pierwszy, a ganię drugi, lecz w tem, czy byli i są ludzie wyznający poglądy, które przypisuję w swych artykułach patrjotom, i czy są inni ludzie, których poglądy różnią się od pierwszych, i których nazywam nacjonalistami. Nazwy te mogą się podobać lub nie p. Studnickiemu, ale fakt pozostaje faktem, że ludzi, których nazywam patrjotami i nacjonalistami, nie można zaliczać ze względu na znaczne różnice ich poglądów do jednego obozu.

Tymczasem ,,metodyczność“ i „logiczność“ p. Studnickiego polega na tem, że w klasyfikacji swej stara się zatrzeć różnice poglądowe ludzi, mających nie wiele ze sobą wspólnego.

P. Studnicki robi mi zarzut, że z mojego określenia patrjotyzmu wynika, że w Anglji nie może on istnieć, bo nikt nie myśli o zdobyciu tego państwa.

Przeciwnik mój ma zły zwyczaj nieuważnego czytania artykułów ludzi, z którymi polemizuje.

W „Krytyce“ zaznaczyłem wyraźnie, że patrjoci dbali zawsze o interesy szerokich warstw narodu i że dlatego byli zwykle demokratami. Wynika z tego, że w Anglji i innych wolnych państwach patrjotą będzie ten, kto pracuje dla podniesienia swego narodu pod względem politycznym, społecznym i kulturalnym. Działalność taka polega na udoskonalaniu instytucji, podniesieniu oświaty, wzroście wyższej wiedzy, poprawie obyczajów i t. p.

Natomiast nie potrzebuje ona dążyć do podbicia innych narodowości, do przymusowego narzucania im swojej kultury i t. p., czego chce nacjonalizm.

P. Studnicki zarzuca mi jeszcze, że w mojem określeniu patrjotyzmu mieszczą się cechy przypadkowe.

Każda klasyfikacja jest względna, a ponieważ grupy społeczne w wyższych fazach rozwoju nie są od siebie oddzielone ściśle przepisami prawnymi, ponieważ między różnymi obozami politycznymi są grupy pośrednie, więc żadna definicja nie może być absolutna.

Jeżeli używamy wyrazu „konserwatysta“, to zwykle kojarzymy z nim dążności stanowe, popieranie interesów warstw wyższych, klerykalizm itp.

Spotykamy jednak czasem ateistów, broniących interesów warstw wyższych, lub klerykałów, broniących ludu wiejskiego. Zresztą cechy, które nie łączą się bezwzględnie z patrjotyzmem, oznaczyłem, jako zwykle, często z nim związane. Byłem więc o ile możności ścisły.

P. Studnicki robi mi zarzut, że, uznając antagonizmy narodowe, dowodzę jednocześnie, iż są zjawiskiem przejściowem.

Otóż w tej formie nie wypowiedziałem swych poglądów. Twierdziłem tylko i twierdzę, że jakkolwiek antagonizmy narodowościowe istniały i istnieją, jednak formy, w których się przejawiają, ulegają z biegiem czasu zmianom.

P. Studnicki zgodnie ze swoją metodą miesza zawsze różne pojęcia, klasyfikując je chaotycznie, wedle jakiejś „swojej metody“.

W ten sposób z faktu, że antagonizmy narodowościowe uświadamiają się coraz bardziej — co jest zrozumiałe ze względu na coraz większą znajomość naszą zjawisk społecznych — wyprowadza on błędny i zupełnie fantastyczny wniosek, że walka narodowościowa musi być coraz brutalniejsza i gwałtowniejsza. Nie może on tego zrozumieć, że ta sama przyczyna (głębsza znajomość zjawisk społecznych), która uświadamia wyraźniej interesy naszego narodu, jednocześnie wpływa też na zmianę taktyki w walce, na usunięcie wielu niepożądanych i szkodliwych jej objawów.

P. Studnicki poucza mię, że prawo cywilne powstało zwolna, i że usunięcie zemsty rodowej odbyć się mogło tylko przy pewnych warunkach. Rzeczy te są mi znane i na innem miejscu*) starałem się opisać ten proces, zanim p. Studnicki łaskawie zechciał mi go wyjaśnić.

Właściwie trudno mi zrozumieć, po co p. Studnicki o tem wszystkiem mówi.

Wszak nie twierdziłem, że prawo cywilne raptem spadło z nieba, nie dowodziłem również, że od razu wszystkie antagonizmy narodowościowe zażegnane zostaną przez humanitarne prawa.

*) Zarys podstaw socjologji ogólnej. Część II.

Natomiast twierdziłem i twierdzę, że dziś już istniejące narodowości w granicach jednego państwa mogą prowadzić walkę między sobą w sposób kulturalny, nie zaprzeczając sobie wzajemnie prawa do niezbędnych instytucji politycznych i kulturalnych, zapewniających im swobodny rozwój języka, nauki, sztuki i równouprawnienie polityczne.

P. Studnicki chce dowieść, że w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu wyzwalanie się uciskanych narodowości nie zrobiło postępu; na poparcie swego twierdzenia przytacza on przykłady: stosunek Rosji i Prus do polaków. Wyzwalanie się narodów słowiańskich i innych na półwyspie bałkańskim przypisuje on wyłącznie antagonizmom międzynarodowym.

W ten sposób jedna z najbardziej charakterystycznych cech wieku XIX — odradzanie się narodowości — dla p. Studnickiego nie istnieje.

W wieku XIX wszędzie widzimy wzrost samowiedzy narodowej: grecy, czesi, słowianie południowi, irlandczycy, łotysze, litwini, estończycy, a nawet celtycka ludność ks. Walji i Szkocji budzą się do życia.

Starcia międzynarodowe były w wiekach ubiegłych częstszemi niż dziś — mamy tu na myśli wojny. A jednak rezultatem ich nie było odradzanie się narodowości.

Dawniej zabierano sobie terytorja, nie troszcząc się o to, czy ludność, zamieszkująca je należy do tej, lub owej narodowości, badano tylko: rozległość terytorjów, ilość ludności i jej siłę podatkową. Dopiero w wieku XIX zasada narodowości nabiera większego znaczenia.

Jeżeli więc narody przez Turcję podbite wyzwoliły się, to faktu tego nie można przypisać wyłącznie starciu tego państwa z Rosją. Gdyby Serbowie, Bulgarzy i t. p. nie mieli świadomości narodowej, wojny Rosji z Turcją same przez się nie zapewniłyby im bytu państwowego.

Rozwój praw narodowościowych w Austrji dowodzi też, że zasada równouprawnienia narodościowego robi znaczne postępy, oczywiście po walkach i przez nie.

W czasach ostatnich ludność flamandzka w Belgji zdobywa coraz więcej praw dla swego języka w szkole i administracji.

Nawet w centralistycznej Francji zauważyć można tendencje małych narodowości w niektórych prowincjach — do wyodrębnienia się od francuzów, zdobycia praw dla swego narzecza.

Dzienniki donoszą nam dość często, że w Irlandji inteligencja patrjotyczna, mówiąca dotychczas językiem angielskim, zarzuca go coraz częściej dla irlandzkiego. Ten sam proces zauważyć można w ks. Walji i w Szkocji wśród celtyckiej ludności tych krajów: inteligencja przestaje używać w domu języka angielskiego i zaczyna posługiwać się narzeczem ludowem.

W Norwegji jeszcze przed laty 50-ciu językiem literackim był duński, obecnie wiele wspaniałych utworów literatury pięknej, którymi zachwyca się dziś cała Europa, istnieje w języku norweskim.

Od wieków wśród niemców zamieszkuje plemię Serbów łużyckich, jest ich pareset tysięcy. A jednak pomimo całej przepaści, oddzielającej kulturę tego małego plemienia od wysokiej kultury niemieckiej, istnieje ono i nie zostało jeszcze zgermanizowane.

Równouprawnienie narodowości w jednem państwie zamieszkałych nie jest tylko humanitarną zasadą, lecz mądrą polityką, opartą na doświadczeniu. *Ludwik Kulczycki.*

(Dokończenie nastąpi.)

Dr. B. DYBOWSKI

O znaczeniu i doniosłości teorji mutacyjnych i ewolucyjnych w nauce i w życiu.

III.

Gdy część morfologiczna teorji ewolucyjnej nie budziła od samego początku żadnej wątpliwości, odnośnie do jej uzasadnienia, to z drugiej strony część fizjologiczna, mianowicie wykazanie przyczyn powodujących ową ewolucję, owe przeobrażanie, nie mogło zadowolnić umysłów wszystkich badaczy. Sprawa bowiem cała, dotycząca tej

części teorji jest wielce zawiłej natury; widzieliśmy już uprzednio, jak poglądy dwóch genjalnych uczonych były różne, jakkolwiek obadwaj przyjmowali w całości stronę morfologiczną teorji. Lamarck uzasadnił, jakeśmy to uprzednio zaznaczyli, że zmiana gatunków następuje w skutek zmiany otoczenia, ale przy koniecznych usiłowaniach ze strony istot ożywionych, drogą przyzwyczajenia, ćwiczenia, używania i nie używania narządów; z tej strony miał zupełną rację, jak to wykazane następnie zostało przy pomocy teorji o doborze płciowym Darwina, gdzie organizmy same są czynne przy procesie przeobrażenia, zresztą znane są tak zwane suggestje wzrokowe, mogące oddziaływać czynnie i wywoływać zmiany rozmaite. Geoffroy natomiast przypisywał warunkom zewnętrznym całą pracę przeobrażenia tak np. zmniejszona ilość dwutlenku węgla w powietrzu według niego wywołać miała powstanie ptaków i zwierząt ssących.

Strona morfologiczna teorji ewolucyjnej nie dawała jak widzimy powodów do niezgodności w zapatrywaniach, strona fizjologiczna natomiast budziła i dotąd budzi spory i nieporozumienia, przez to jednak sama teorja pozostaje niewzruszoną. Gdyby np. obok siły grawitacyjnej odkrytą została inna jeszcze siła, to wskutek tego wszakże nic by nie ucierpiała teorja Kopernika.

Niezważając jednak na logiczność teorji ewolucyjnej Lamarcka, pokonaną ona była na razie powagą autorytetu, hołdującego poglądom cudotwórczym, mutacyjnym i spoczywała nieuznaną aż do roku 1859, t. j. do chwili, kiedy się ukazało w druku dzieło wiekopomne Karola Darwina, noszące tytuł „O pochodzeniu gatunków pod wpływem doboru naturalnego, albo o przeżywaniu w walce o byt, form najlepiej uposażouych“.

Równocześnie z ukazaniem się tego dzieła bielmo spadło z oczu przyrodnikom i światopogląd nowy, biologiczny jakby huragan jaki wstrząsnął w posadach cały świat myśli w Europie i Ameryce. Żadna praca naukowa, ani przedtem, ani potem, nie wyłączając i nieśmiertejnej pracy Kopernika którego jeszcze dotąd Niemcy nie mogą się odzwyczaić uznawać za Niemca*) — nie wywarła tak olbrzymiego wpływu na wszystkie gałęzie wiedzy, jak praca Darwina, szerzona i popularyzowana niezmordowanemi, genjalnemi usiłowaniami i pracami Prof. Ernesta Haeckla w Ienie.

Dopiero teraz odkryto tysiące nowych horyzontów dla badań, nawet w zakresie tak zwanych „nauk humanitarnych“. Poziom wiedzy wzniósł się do niemarzonych przedtem wyżyn i stanął olbrzymi mur graniczny pomiędzy przeszłością niedawną a teraźniejszością — wszystkie mozolne trudy na polu filozofji i historji, łożone uprzednio, okazały się zabawką umysłów, nie kierowanych zasadami prawdziwej wiedzy. Z przerażeniem spostrzeżono, że to co dotąd uznawane było za prawdę niewzruszoną, jest to baśń naiwna niedojrzałego umysłu. Tłumy, nie mające żadnych podstaw do własnych sądów, wychowane w atmosferze teorji mutacyjnych, stoją dzisiaj po za murem granicznym, niezdolne zrozumieć prawdy, która zajęła w nauce miejsce legend uprzednich.

Zasługa Karola Darwina jest dwojakiego rodzaju, on po pierwsze rozwinął całą teorję i faktami niezbitymi, a namacalnymi udowodnił słuszność i naukowość części morfologicznej teorji ewolucyjnej, czyli teorji Lamarcka; powtóre uzasadnił, bo również na dowodach naukowych, nieubłagalnie logicznych, oparł nową teorję fizjologiczno-ewolucyjną; przy jej pomocy wytłumaczoną została i reszta faktów, nie dających się objaśnić przy pomocy teorji fizjologicznej Lamarcka i Geoffroy de St. Hilaire'a. Teorja, o której mowa, nosi miano „doboru naturalnego“ czyli krótko mówiąc, teorji Darwina.

Często ludzie niewiedzący nazywają całość teorji ewolucyjnej Darwinizmem, wtedy kiedy tylko jednej z jej części nazwa Darwinizmu się należy; wprawdzie Darwin wszystkie jej części na nowo opracował, nowymi wsparł dowodami, naukowo je zestawił i ugrupował i jemu się głównie na-

*) Dziwić się nie można opojom hakatystycznym niemieckim, że strawić tego nie mogą, iż Kopernik nie jest Niemcem, ale w zdumienie wprawia każdego, gdy czyta w dziele uczonego niemieckiego, który walczy za prawdę, ustęp taki np. „Auf naturwissenschafflichem Gebiet begann die neue Zeit mit dem Sturz des Ptolemäischen Weltsystemes, welches mehr als Tausend Jahre hindurch des Wissenschaft als Grundlage gedient hatte. Als der deutsche Domherr Nikolaus Kopernik geboren in Thorn 1475. gestorben 1543, die alte Anschauung umkehrte. („Vorträge über Descendenztheorii v. August Weismann 1902“. T. I. str, 15) Widocznie Weismann nie śmiał uznać Kopernika za Niemca ale dla wewnętrznej satysfakcji swojej zrobił go przynajmniej kanonikiem niemieckim, a to na zasadzie, że dziś Toruń należy do państwa niemieckiego.

leży wdzięczość zà to, że dał światu poznać teorję, w sposób umiejętny uzasadnioną i wyłożoną, jakby w całości przez niego stworzoną. Potęga teorji doboru naturalnego, którą uzupełnił następnie Darwin teorją o doborze płciowym, spoczywa w tej okoliczności, że przy jej pomocy dały się wytłumaczyć fakty, niedostatecznie objaśnione przez teorje Lamarcka i G. d. St. Hilaire'a.

Teorja Darwina, oparta na podstawach należytych, udowodniona za pomocą zasad doboru sztucznego, praktykowanego przy hodowli zwierząt domowych i przy kulturze roślin, daje się sformułować w krótkich zdaniach następujących:

Gatunki nie są czemś stałem, jak to już Lamarck uznawał, lecz przeciwnie zmieniają się ciągle. W rzeczywistości niema dwóch osobników danego gatunku, które były by zupełnie podobne do siebie, te odmiany indywidualne dają się łatwo obserwować i badać. Ze wszystkich odmian jakie powstają w danym gatunku, utrzymują się przy życiu tylko takie, które są najlepiej przystosowane do warunków istnienia; wszystkie inne odmiany, nie mające tych koniecznych przymiotów ginąć muszą w walce konkurencyjnej, cichej i prawie niewidzialnej, ale tem niemniej nieubłaganej, bo koniecznej, przyczem prawie cały proces tej walki spoczywa w rękach samego otoczenia w przyrodzie. Walka o byt, którą wiedzie hakatyzm nie jest tą walką, którą ma na myśli teorja doboru naturalnego.

Ta ciągle powtarzająca się działalność doboru i przystosowywania sprawia, że przeżywają najlepiej uposażone osobniki w długim pochodzie pokoleń, a ten proces znowu powoduje w ostatecznym rezultacie przemianę form, w kierunku odbywających się zmian w warunkach otoczenia.

Przez teorję doboru naturalnego rozwiązane zostały zagadnienia wszelkiego rodzaju, które stawiały jak już wspomniano pewne trudności w obec teorji uprzednich.

Istnienie i powstawanie zmian indywidualnych widzieć może każdy, ale sprawdzić doświadczalnie proces zesumowywania się, kumulacji odmian indywidualnych, aż się utworzą cechy, uznawane za gatunkowe albo rodzajowe, jest rzeczą niemożebną w obec krótkości życia naszego. Tę okoliczność podnoszą niekiedy tak zwani pozytywiści, ażeby czynić zarzuty teorji ewolucyjnej w ogólności, zaś w szczególności teorji Darwina, wymagają oni zwykle dowodów bezpośrednich, bo dowody uboczne dla nich nie mają znaczenia. A jednak proste logiczne zastanowienie się nad kwestją dowodów ubocznych przekonać powinno każdego o błahości zarzutów podobnego rodzaju. Tak np. obserwujemy dzisiaj warstwy, leżące na stokach gór wysokich i uznajemy je za osady, które się tworzyły na dnie morza głębokiego, a nikt przecie przy tworzeniu się tych warstw nie był obecny. Następnie na podstawie teorji Laplace'a możemy sobie jasno przedstawić, nawet astronomowie potrafili obserwacjami swemi udowodnić proces cały formowania się naszego systemu słonecznego, a jednak ani Laplace, ani żaden z tych, którzy teorję jego uznają za słuszną, nie byli obecni przy akcie powstania słońca.

Wiedza biologiczna ma dzisiaj masę dowodów pośrednich, ubocznych dla wykazania zupełnej słuszności teorji descendencji, teorji przystosowywania się organizmów, teorji doboru naturalnego, teorji doboru płciowego itd. to też wszyscy ludzie nauki uważają teorje wspomniane za zupełnie pewne i za takie, które usunęły z zakresu badań, wszelką cudowność, wszelką celowość.

Ale czy temi teorjami i niektóremi dodatkowemi, jak teorja migracyjna Wagnera, teorja odosobnienia terytorjalnego i odosobnienia płciowego Romanes'a, wyczerpany został zakres wszelkich objaśnień, potrzebnych dla zrozumienia całej rozciągłości strony fizjologicznaj teorji ewolucyjnej? — Na to pytanie odpowiedzieć można, według mego zdania, że nie. Proces przeobrażania się form życiowych jest czynnością wspólną wszystkich razem wziętych sił przyrody, w zakresie objawów fizycznych i chemicznych, tak dobrze samych organizmów, jak i ich otoczenia.

Sądzić tedy, ażeby już dzisiaj można było objąć jedną, albo kilkoma tylko formułami słownemi lub też cyfrowemi, cały obszar tych działalności, jest rzeczą niesłuszną. Ani „neodarwinizm“, który się wyłącznie opiera na doborze naturalnym i doborze płciowym, ani „neolamarkizm“, który bierze za podstawę swych tłumaczeń przyzwyczajenie, ćwiczenie, używanie i nieużywanie narządów, ani „neogeoffroyizm“, który posiłkuje się wyłącznie warunkami zewnętrznymi, nie mogą rościć pretensji do prawa na wyłączność. Trzeba owszem przewidywać, że z biegiem czasu, przy zwiększającym się coraz bardziej zasobie faktów obserwowanych zrodzić

się może potrzeba nowych dodatkowych teorji fizjologicznych. Ale to nie przeszkadza, że kiedyś, może nawet w niedalekiej przyszłości, dadzą się wszystkie te teorje razem wzięte ująć ostatecznie w jedną formułę wspólną; wszak zawsze analiza drobiazgowa iść musi przed syntezą ogólną.

Każdy organizm jest wyrazem przeszłości swojej rozwojowej, przeszłości swych przodków i przeszłości otoczenia. Każda część danego ustroju, każdy organ jego, każda tkanka, nawet każda komórka jego ciała są to hieroglify, za pomocą których spisaną została historja szczegółowa, wyżej wspomniana. Gdy potrafimy zrozumieć znaki pisma hieroglificznego poznamy przeszłość naszego globu, a po niej odgadnąć zdołamy przyszłość tajemniczą. Droga tedy dla badań wyraźnie jest wytknięta, a zarazem jasno się przedstawia zadanie etyczne, kształcenia moralnego ludzkości przy pomocy poglądów ewolucyjnynh.

Innem też zupełnie okiem patrzą na świat otaczający i na siebie samych ci, co przyswoić sobie zdołali prawdę wiedzy, niż patrzą tacy, którzy strasznym egoizmem i zarozumiałością bezgraniczną odęci, mierzą świat okiem pogardliwem z wysokości swego urojonego majestatu. W błędnem pojmowaniu stosunku człowieka do świata leży przyczyna główna całych nieszczęść, w jakich tonie ludzkość.

Jedynym środkiem wyjścia z tego zaczarowanego koła niedoli jest uświadomienie, że drogą ku świątlejszym horyzontom jest prawda. Te zasady jak najczęściej powtarzać, jak najgoręcej wpajać, jest obowiązkiem świadomego siebie sumienia ludzkiego. Dzisiaj jest to już rzeczą pewną, że teorje rozwojowe mają jedynie prawo być nazwane naukowemi, one objaśniają wszystkie dotąd poczynione spostrzeżenia tak w dziedzinie przyrodniczej wiedzy, jak i wszechświatowej, a nadto mają tę logicznie pewną możność uszlachetnienia i umoralnienia człowieczeństwa.

Nie uznawanie dzisiaj teorji ewolucyjnych znaczy tyle, co nie umienie myśleć logicznie, bo jest to poprostu, prawie dziecinnem zaprzeczaniem faktom astronomicznym, paleontologicznym, porównawczo-anatomicznym, embriologicznym i antropologicznym.

A wszakże są ludzie, a do tego liczni, którzy walczą zaciekle przeciwko teorjom rozwojowym, rodzi się przeto pytanie, co ich do takiej walki zniewala? czy przekonanie, że one są fałszywe, nieuzasadnione? czy też dla tego, że mają na ich miejsce inne teorje naukowe, któreby je zastąpić mogły? Otóż ani jedna, ani druga przyczyna nie są tych walk powodem.

Tych ludzi gniewa i prawie do passji doprowadza przeświadczenie, że teorje ewolucyjne już się obalić nie dadzą, a że wnioski na ich podstawach oparte grożą utratą władzy nad ciemnotą całej masie obłudników, stąd gniew i ujadanie najzaciętsze.

Taktyka i zakres tej walki są różne, ale cel zawsze jednaki. Jedni np. przyjmują i uznają słuszność teorji ewolucyjnych dla całego świata roślinnego i zwierzęcego, wykluczając stąd człowieka, bo ten ostatni, według ich zdania, jest inaczej stworzony, on nie ma nic wspólnego z resztą istot ziemskich, u niego sprawy umysłowe odbywają się według innych praw, dla niego wyjątkowo istnieją cuda, on powstał mutacyjnie, raptownie, a wszyscy zaś Faraonowie i Bonzowie są najcudowniejszemi istotami na świecie, ni mniej ni więcej półbogami. Drudzy znowu występują do walki, udając miłość szczególniejszą dla człowieczeństwa i dbałość o jego dobro i szczęście, biadają oni, że z chwilą uznania „doboru naturalnego“, walki o byt za teorję słuszną, ludzkość zatracić musi ideały swoje najszczytniejsze, które według ich zdania są tak wyraźnie uwydatnione w cywilizacji dzisiejszej. Otóż pytamy, czy może być obłuda cyniczniejszą, jak takie twierdzenie?

Właśnie cywilizacja obecna, oparta cała na teorjach mutacyjnych, daje nam niezbite dowody, że ona jest głównie zaporą dla moralności, zabójcą wszelkiej cnoty. Czyż mamy przykładami dowodowymi uzasadnić zdanie powyższe, wszak dosyć wspomnieć o wypadkach we Wrześni, w Malborgu, w Afryce, w Chinach, ażeby widzieć najjaśniej w świecie, że kanibalizm dzisiejszy nie jest mniej wstrętny od kanibalizmu, najbardziej barbarzyńskiego wieków dzikości zwierzęcej społeczeństw ludzkich.

Zatrata cnoty, moralności nastąpić musiała koniecznie za sprawą teorji mutacyjnych. Nic dzisiaj na przeszkodzie do najohydniejszego barbarzyństwa nie stoi. Niechaj tylko jakiś królik każe w niepoczytalności swego zalkoholizowanego umysłu upiec na rożnie jednego z męczenników, a cała rzesza służalcza, zjadać będzie

bez wszelkiego wstrętu wszystek lud, nazywany „minderwerthig“, wznosząc przytem modły dziękczynne do tego, który im dał siłę i moc, by stać nad prawem, nad cnotą, nad moralnością. Tak! bo po moralności obecnych społeczeństw, niczego lepszego spodziewać się nie można.

Jeżeli dzisiaj naród „myślicieli“, naród „wybrany“, naród „żyjący w bojaźni Bożej“, przez usta swoich przedstawicieli mógł z krwią zimną, bez rumieńca na czole, przed forum całego, tak zwanego świata cywilizowanego, rzucić miljony na stos całopalny, by na nim spłonęła narodowość uciemiężona — to chyba niema lepszego i dokumentniejszego świadectwa dla oceny wartości teorji cudotwórczych, a gdy ten czyn haniebny, mieni ów naród wybrany najszlachetniejszym, gdy sądzi, że za jego wykonanie czeka go Pan w niebiosach z nagrodą wiecznej szczęśliwości — tem samem wydaje wyrok potępienia na całą cywilizację obecną.

STEFAN RYCERSKI.

PUŚCIZNA BRZESZCZA.

(C. d.)

— Berwisiu, Marynia nie dziecko: wie co robi.

— Otóż nie wie! Matka powinna wiedzieć najlepiej. A on tutaj w Malińcach potrzebny. Gdy go niema, wszyscy oglądamy się za nim I Teresia ogląda się także. Po co zwlekać. Jadzieńce też czas będzie niedługo. No, cóż drugiego człowieka dla niej nie widzę.

Mówił jeszcze, że chciałby wiecznie roztaczać opiekę nad niemi wszystkiemi, ale lada dzień, lada chwila śmierć zapuka kościstą ręką i powoła go do innej służby.

A gdy pani Teresa chciała zwrócić rozmowę na weselsze tory i rozproszyć jego smutne przeczucia, odparł stanowczo:

— Cóż! Wszystko w ręku Boskiem. Niechaj Teresia pomyśli na serjo o tem, co mówiłem i niechaj pogada z Marynią. Ja przecież robię, co do mnie należy. Tak róbmy wszyscy.

Nad wieczorem Maksym powrócił i udał się wprost do kwatery Berwicza, który czekał na niego widocznie, bo już od południa nie ruszał się z domu.

Berwicz zerwał się, zbliżył do niego i spytał przyciszonym głosem:

— Widziałeś panicza?

— A jakże, jak pan kazał, inom mu się na oczy nie nawijał.

— Gdzież jest?

— Tylko co wrócił. Jeździł do miasta.

— A popadjanka? — pytał dalej, mimowolnie spuszczając oczy.

— Cóż, panicz odwiózł ją do miasta — odrzekł Maksym z widoczną niechęcią.

— Odwiózł sam? Kiedy?

— Zaraz. Nawet do dworu nie wprowadził.

— A w mieście gdzie ją zostawił?

— Najął mieszkanie, rzeczy pokupował, trzy pokoje, kuchnia — nie brak niczego.

Maksym wymienił dokładny adres, Berwicz zanotował go starannie i schował do starego biurka.

Maksym pomimo to nie odchodził, jak to czynił zawsze, kiedy miał coś jeszcze do powiedzenia i czekał, aż go zapytają.

Berwicz zrozumiał i zagadnął:

— Cóż więcej u panicza?

— W Urbiczach chwalić Boga wszystko dobrze...

Pomimo to westchnął ciężko i dodał:

— Ponoś panicz ma gdzieś jechać daleko.

— Nie może być! Kto powiedział?

— Popadjanka gadała swojej służącej. Ma przecie teraz służącą!

Splunął.

— Niby panicz ma ją zabrać. Musi gadała prawdę, panicz zachodził do Nusyma.

Nusym był kapitalistą powiatowym i dobroczyńcą nieoględnej młodzieży.

Maksym wiedział doskonale, że pieniędzy na gospodarstwo i wszystkie godziwe wydatki Ignaś nie potrzebował szukać u Nusyma. Powiedział też to posępnie, rozumiejąc dobrze, jako człowiek związany sercem i życiem z Malińcami, znaczenie tego faktu.

— Jakże wiesz? — spytał Berowicz.

— Kazaliście, panie, dowiedzieć się dokumentnie o paniczu, ja też patrzał i słuchał.

Westchnął znowu. Może pomyślał o tem, co kiedyś miało nastąpić. Ignaś był przecież przyszłym dziedzicem majątku. Jakiż miał być los Maliniec i wszystkich dawnych sług domu pod jego rządami? Inteligentne, ponure oczy Maksyma zbiegły się z oczyma Berwicza i wyczytały w nich to samo, co było w jego duszy.

— Ha! wola Boska! — wyrzekł z fatalizmem, właściwym ludowi, kłaniając mu się do kolan.

Berwicz chciał te same słowa powtórzyć, ale zbladłe wargi jego tak drgały, że głos żaden z nich nie wyszedł.

Zaledwie drzwi zamknęły się za Maksymem, mignął pod oknem dobrze znany Berwiczowi siwek. Witold dowiedział się widocznie za powrotem z Wilna o wszystkiem i zanim wszedł do domu, musiał zapytać, czy smutna wieść doszła do rodziny?

I w zwykłym zresztą porządku rzeczy Witold wstępował często naprzód do Berwicza. Podzielał względem niego uczucia Maryni i uważał go za gospodarza domu w Malińcach.

— Czy panna Marja wie?

Były to pierwsze jego słowa.

Stary wzruszył ramionami.

— Dotąd nie. Tylko gdy zapyta, cóż jej odpowiemy?

I dodał ponuro:

— Bóg nas opuścił...

Witold chciał mu przerwać, ale on nie zważał i powtórzył gorączkowo:

— Tak, Bóg nas opuścił. Patrzałem w tym domu na straszne nieszczęścia; myślałem: już nic gorszego być nie może. A przecież...

Spuścił głowę i patrzał w ziemię, jakby tam tylko były jego nadzieje.

Witold próbował go uspokoić, nadając tej sprawie znaczenie zwykłej, lekkomyślnej miłostki. Ostatecznie nic się jeszcze nie stało.

Berwicz spiorunował go słowami:

— Więc mamy czekać, aż się stanie! aż Marski ożeni się z prawosławną? aż pop chrzcić będzie jego dzieci?...

Oczy jego błyszczały gorączką, krzepka jeszcze postać prostowała się, jakby wobec niewidzialnego nieprzyjaciela.

— A zresztą — dodał — choćby nawet ta burza przewiała. Czy wobec tego, można mieć chwilę jedną spokoju? Co będzie dalej, gdy nas nie stanie?

Zacisnął dłonie z wyrazem rozpaczy.

— Czy Ignaś dawno był tutaj? — spytał Witold. Jakim sposobem do tego przyszło?

Berwicz nie miał o tem pojęcia. Opowiedział, czego był świadkiem, co mówił Maksym. Ignaś, jako ukochane dziecię Marskich, — dawno przestał istnieć w jego oczach, pozostał tylko w myśli jego, jako wróg i gorzej jeszcze: jako groźba przyszłości.

— Pojadę do niego — starał się uspokoić go Witold — pomówię z nim, przedstawię...

— Jedź pan, mów, przedstawiaj! Jesteś młody, masz czas przed sobą, możesz go trwonić na rzucanie grochu o ścianę. Boże miłosierny! przedstawiać takie rzeczy, bronić przeciw takiej zgrozie.

Załamał ręce, aż stawy zatrzeszczały.

— Co się tu łudzić. On umarł dla nas od dawna.

I dodał przez zaciśnięte zęby, tak iż ledwo go można było dosłyszeć:

— Czemuż nie umarł istotnie!

— Panie Berwicz! — zawołał Witold, przerażony dziką energją tych wyrazów.

Starzec podniósł na niego wzrok, jakby budził się ze snu, powiódł ręką po czole, po oczach i znowu zapadł w zadumę. Ale słów swoich nie cofnął.

Maksym z pewnością nie powiedział nikomu o celu swojej wycieczki, pomimo to w całych Malińcach mówiono tylko o popadjance i porwaniu jej przez Ignasia. W obecności pani, panienek, Berwicza milczeli wszyscy, na to nie potrzeba było nakazu, było przecież coś ponurego w ca-

łej atmosferze otaczającej, co ostrzegało o nieszczęściu, jakby jakaś groźba zawieszona była w powietrzu.

XIV.

Na popowszczyźnie, po ucieczce Naci, zapanowało istne piekło. Przez dni parę Jedniewiczowa gdzieś jeździła po świecie, Jedniewicz pił bez upamiętania, jak nigdy dotąd, zapominając o wszystkiem. Wprawdzie, z opornymi parafjanami, sprawy religijne nie zajmowały mu wiele czasu, ale przyszła niedziela, on się w cerkwi nie pokazał. Nie wiedział nawet, jaki to dzień tygodnia. Klął tylko na czem świat stoi. Na żonę nie chciał patrzeć, wymyślał jej od ostatnich słów.

Ale złość jego wyczerpała się jak zwykle. Po ostrym okresie wściekłości, następował okres łzawy, odzywała się jego natura istotna, niezdolna do jakiegobądź oporu.

Zaczął teraz biadać nad córką, a czynił to z głębi serca. Wiedział dobrze, na czem się kończą podobne sprawy. Uciekła z takim, co ją, rzuci potem, jak zabawkę, która się uprzykrzyła. Czemże dla Marskich była jego Nacia? Jego Nacia, taka śliczna, taka wesoła, najmłodsza z tych dzieci jedna pozostała, ona, co śpiewem, i żartami, śmiechem, rozweselała smutny dom. Gdyby przynajmniej miał nadzieję, że kiedy powróci choćby zwalana, opuszczona, biedna; on ojciec przecie, lecz wyciągnąłby do niej ramiona. Czuł przecież, że tak nie stanie się nigdy. Z drogi, na którą poszła, nie było powrotu. Przez ciąg życia znał dziewcząt takich wiele. Gdy Nacię rzuci Marski, znajdzie ona drugiego, potem jeszcze innego i tak dalej i dalej, dopóki tylko choć trochę wdzięków zostanie. Na popowszczyznę ona nie wróci nigdy... Bo i poco miałaby wracać?

Znalazł w jakimś kącie porzuconą bluzkę córki i zdjął go taki żal, że ją całował i płakał, jak nad rzeczami zmarłej. Powstała w nim taka potrzeba jakiejkolwiek żywej istoty przyjaznej, że gdyby pies nawet położył głowę na jego kolanach, byłby się do niego przytulił. Czuł się tak biednym, że nieprzyjaciel śmiertelny, spojrzawszy mu w duszę, byłby się nad nim użalił.

Spotkał żonę, miała zapłakane oczy. Więc w tej chwili zapomniał o wszystkiem, co stało między nimi, gotów do pojednania we wspólnem nieszczęściu.

— Ot — wyrzekł — my starzy, zostali teraz sami na świecie.

— Sami, albo nie sami — odparła — ty przecież możesz Naci dopomódz.

— Naci dopomódz?

Patrzał na nią zdumiony.

— Cóż ja tutaj mogę?

— On musi się z nią ożenić.

— Zwarjowałaś!

— Jakto: wykradł nam dziewczynę z przed nosa i nie miałoby na to być sprawiedliwości. Kiedy ją wziął, niech się ożeni. O, ja czasu nie traciła. Jeździłam i pytałam się ludzi. Nie byle kogo, urzędników, wojskowych, i powiedzieli mi to samo. „Kiedy ją wziął, niech się ożeni“. Ja trafię, choćby do samego gubernatora, a Nacia będzie panią na Malińcach.

— Zwarjowała! Jak Boga kocham, zwarjowała!

(C. d. n.)

Z PIŚMIENNICTWA i SZTUKI.

KSIĄŻKI. Marjan Massonius. *Rozdwojenie myśli polskiej.* (Osobna odbitka z dzieła: „W naszych sprawach“). Warszawa 1902. Nakł. Henryka Radziszewskiego.

Mamy do czynienia z pracą niezwykłej wartości, z pracą, poruszającą niesłychanie ważne zagadnienia, odnoszące się do genezy twórczości poetyckiej, a nawet do etnopsychologji. Nowa teorja, jaką autor stara się uzasadnić, okazuje braki i to niekiedy znaczne. Nie będziemy ich tu dotykać. Może w przyszłości niedalekiej do nich powrócimy przy innej okazji. Na razie zadaniem naszem będzie tylko wskazać pewne wątpliwe dla nas punkty, a przedewszystkiem nakreślić w ogólnych rysach poglądy autora, wypowiedziane w tej pracy.

Naprzód tedy nader ściśle i konsekwentnie rozważa autor cechy, właściwe umysłom czysto-polskim. Z roztrząsań tych okazuje się, że ujemnemi właściwościami takich umysłów są przedewszystkiem: brak zmysłu teoretycznego, zdolność do sofistyki i djalektyki i wytworzenia własnej metafizyki. Jako cechy dodatnie figurują tutaj: zdolności do objektywizmu naukowego, oświaty i prawość myślenia. Ponadto jest umysł polski bystry i rozległy, ale w tym wypadku jest zarazem nieścisły i płytki. Wszystkie te wywody i rozumowania są niesłychanie logiczne w pracy p. Massoniusa.

„Rozdwojenie myśli polskiej“, to okres usiłowań wytworzenia „narodowej“ metafizyki w latach 1830—1860

w naszej literaturze. Zwrot ten zaś dlatego mianuje „rozdwojeniem", bo, według zdania autora, umysł rdzennie polski jest pozbawiony zupełnie zdolności do kontemplacji w kierunku metafizycznym. Stąd też próby i usiłowania te rychło rozwiały się, a na ich miejsce wystąpił „pozytywizm", jako zgodny z właściwym charakterem umysłu polskiego, jako powrót do dawnego kierunku myśli polskiej. Pod koniec swojej pracy zaznacza autor dobitnie, że początkiem wspomnianego rozdwojenia był właściwie romantyzm, który dopiero spowodował dążenie do metafizyki. Taki obrót sprawy wynikł, zdaniem autora, skutkiem zaszczepienia w umysłowość polską pierwiastków umysłowości litewskiej.

Co się tyczy najważniejszych wątpliwości, jakie nam się nasunęły z powodu wniosków p. Massoniusa, to musimy przedewszystkiem zaznaczyć, że nie możemy żadną miarą pogodzić się z generalizowaniem całego naszego plemienia. Co prawda, autor wie dobrze i w jednem miejscu powiada o zroście kilku pierwiastków etnicznych, z jakich składa się nasza całość etnograficzna, ale, zdaje się nam, zbyt pobieżnie zastanowił się nad poszczególnemi odmianami tychże pierwiastków. Powtóre, o ile nam wiadomo z historji literatury, zmięszanie się obcoplemiennych pierwiastków z polskimi nastąpiło u wielu poetów jeszcze w XVI, XVII i XVIII wieku, a przecież nie wywołało specjalnych zmian w rodzaju umysłów. Teorja więc o litewskiej domieszce, jako przyczynie romantyzmu i w dalszym ciągu metafizyki, byłaby tem nieco zachwiana. Prócz tych dwu, mamy szereg jeszcze innych, drobniejszych wątpliwości.

Pomimo to — niepodobna zaprzeczyć, że teorja p. Massoniusa jest nader śmiała, zupełnie nowa i przytem arcytrudna, bo porusza najgłębsze strony ducha ludzkiego. Co więcej, naszem zdaniem, ma ona ogromną rację w zastosowaniu do historji literatury. Nikt u nas jeszcze nie badał genezy talentu poetyckiego z tego punktu widzenia, co właśnie p. Massonius. Że zaś zmięszanie pierwiastków polskich z obcoplemiennymi odgrywa w tem wielką rolę, tego nie ma potrzeby udowadniać. Jesteśmy pewni, że teorja ta, dalej rozwijana i umacniana, sprawi przewrót w dzisiejszej krytyce naukowej.

St. Zdziarski.

NOTATKI. *Odczyty p. Lutosławskiego we Lwowie.* Pan Lutosławski zjawił się znowu we Lwowie i wygłosił sześć odczytów o ideałach narodowych, którymi wedle niego są: czystość, miłość, karność, pracowitość, ofiarność i wolność.

Prelegent nie uzasadnił ściśle dlaczego powyższe ideały są naszymi narodowymi, a nie ogólno ludzkimi. Wszak szwed, anglik, szwajcar i t. p. mógłby także powyższe hasła uznać za swoje.

Zaraz na pierwszym odczycie prelegent podał swą klasyfikację ludzi. Na pierwszem miejscu stoi człowiek-bohater, zwykle mężczyzna, na drugiem człowiek-anioł, zwykle kobieta, następnie człowiek-mężczyzna, człowiek-kobieta, samiec, samica i baba.

Na drugim odczycie p. Lutosławski zmienił tę klasyfikację: na pierwszym miejscu postawił babę, dalej kobietę-gąskę, mężczyznę-osła i t. d., przyczem zaznaczył, że chce dać słuchaczom przykład wolnej twórczości i dlatego nie zwraca uwagi na konsekwencję w swoich wywodach.

Nie możemy tu śledzić szczegółowo biegu myśli tego umysłowo chorego człowieka, zaznaczymy tylko główniejsze jego poglądy.

Pan Lutosławski jest zdecydowanym przeciwnikiem stosunków fizycznych między mężczyzną a kobietą, zaleca zupełną czystość. Przewidując zaś zarzut, że ród ludzki wyginąłby w takich warunkach, odpowiada, że zawsze jest dosyć trutni w społeczeństwie, którzy będą się rozmnażać.

Pan Lutosławski jest też zwolennikiem teorji o wędrówce dusz. Naturalnie nie uzasadniał jej, jak zwykle, lecz przyjął dogmatycznie. Mówiąc o wolności skoncentrował swoją uwagą na kwestji wolności woli.

Ostatnie odczyty p. Lutosławskiego, jak i wszystkie inne, odznaczały się chaotycznością myśli, dogmatyzmem, zupełną ignorancją w sferze zagadnień społecznych; żywioł humorystyczny uwydatnił się w nich silnie szczególnie podczas dwóch pierwszych prelekcji.

Mimowoli nasuwa się porównanie między Tołstojem i Lutosławskim.

Obydwaj są ascetycznie usposobieni, obydwaj nie lubią ścisłej nauki, obydwaj kładą nacisk na wewnętrzne doskonalenie się.

Poza temi podobieństwami są między nimi znaczne różnice: Tołstoj odrzuca wiarę w cuda, nie podaje się za proroka i głosi tylko pewne postulaty etyczne i społeczne; Lutosławski lubuje się w rzeczach nadprzyrodzonych, udaje proroka i żąda wiary na słowo.

Tołstoj interesuje się żywo kwestjami społecznemi, jest wyznawcą szkodliwej doktryny o nieprzeciwdziałaniu złu siłą; Lutosławski jest większym od niego mistykiem; zagadnienia społeczne mało go zajmują, a w kwestji walki ze złem, jej sposobów i t. p., zajmuje stanowisko niezdecydowane.

Tołstoj jest wielkim i genjalnym artystą, a Lutosławski lichym myślicielem i fałszywym prorokiem.

L. K.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8